OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 18 (30) Czerwca 1868 roku.

Nr 26. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. I. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok IV.

Od Redakcji.

Opiekun Domowy i nadal wychodzić będzie. Nie zrażając się różnemi niekorzystnie na pismo wpływającemi okolicznościami, Redakcja wszelkich dołoży starań, aby organ ten stał się wyrazem moralnej potrzeby mniej zamożnych rodzin, aby je nauczał i oznajmiał ze wszystkiem co pożyteczne i piękne. Mając to na względzie, uprosiliśmy jednego z najsympatyczniejszych dziś powieściopisarzy naszych, Adama Pługa, iż przesłać nam raczył umyślnie dla czytelników Opiekuna napisaną powieść, którą niebawem po ukończeniu Wołodego Skiby: Na gorącym uczynku, drukować rozpoczniemy. Cena Opiekuna Domowego pozostaje taż sama co dotąd. Uprasza się Szanownych Prenumeratorów o wczesne zapisywanie się na stacjach pocztowych lub też o przesyłanie prenumeraty do Redakcji, w Warszawie, ulica Solna N. 715. Do następnego N-ru Op. dom. dołączony zostanie **Kalendarz ścienny illustrowany** *na II-gie półrocze b. r.*



Starzec i Śmierć.

Bajeczki dziadunia.

II.

STARZEC I ŚMIERĆ.

Szedł raz staruszek sędziwy;
Ot jak ja siwy,
Przygarbiony i znękany,
Ubożuchno przyodziany,—
Drogą, która wiodła lasem,
I stękając stawał czasem:
„O Boże! Boże!—mówił—jak ja się męczę
Na moje sędziwe lata,
Żeby zanieść do domu to drewek naręcze!.....
Tak jeszcze daleko chata,
A ten ciężar tak strasznie barki moje gniecie,
Że chyba nie dojdę żywy.
Oh! nie wiem czy [jest na świecie
Kto tak jak ja nie- [szczęśliwy."
Raz jeszcze stanął, [westchnął i wędrował dalej.
Ledwie zrobił sta- [cję małą
Sznurek pękł, drze- [wo z pleców na zie- [mię się wali,
„Otóż masz! — rzekł [zgryziony, — tego [brakowało
Do mojego nieszczę- [ścia... wszystko na [mnie czyha,
Los i w takiej dro- [bnostce musiał mi [zaszkodzić.
Po to się innym [uśmiecha,
By we mnie lepiej [ugodzić!..
Na co mi się przyda- [ło takie marne życie,
Gdy cierpię taką [niedolę,
Inni wszystkiego [miewają obficie,
Ja na kęs suchy [chleba się mozolę,
W samych troskach życie pędzę.
O śmierci, przybądź lepiej i zakończ mą nędzę,
Nie daj mi dłużej dręczyć się na świecie."
Ledwie wyrzekł te słowa, aż śmierć przed nim stawa.
„Jestem—rzecze—staruszku, czegóż to pragniecie?".
„Ot,.. pomóż drzewko zbierać, jeżeliś łaskawa"......

NA GORĄCYM UCZYNKU.

Kartka z kroniki kryminalnej.

(Ciąg dalszy.—patrz N. 25-ty).

Jak się należy domyślać od tej chwili obaj zafrasowani swemi zeznaniami świadkowie, szukali coraz częściej w piwie pociechy i utulenia dręczących skrupułów, i jeden przed drugim oraz sami przed sobą tłumaczyli się, że piją więcej dla tego, żeby więcej nad ratunkiem skazanego myśleć mogli.

Upłynął w taki sposób tydzień przeszło, podawali sobie wzajem tysiąc projektów jeden od drugiego niepraktyczniejszych, na nic przecież praktycznego nie wpadli.

Skrupuły ich sumienia usypiały powoli. Zaczęło się już zdarzać, że pijąc piwo myśleli wcale o czem innem nie o Opędzkim.

Jednego dnia również jak w owym dniu pamiętnym, o dosyć późnej porze powracali z owej pierwszej bawarji, której byli stałemi i punktualnemi gośćmi.

Tego wieczoru musieli wiele myśleć o wyratowaniu uwięzionego, bo aż po sześć kufelków mieli w głowie, mimo to jednak powracając do domu zupełnie nie mieli go na myśli.

Dopiero przed Kopernikiem gdy się znaleźli na tym samym rozstajnym punkcie, z którego w owym dniu pamiętnym rozeszli się i napotkali katastrofę, rozmowa ich skierowała się tak, że niepodobna było nie wspomnieć o sprawie, co im już ulatywała w pamięci.

— A co? dzisiaj—rzekł pan Antoni gdy byli na rogu Oboźnej,—nie chcielibyście ponowić zakładu?

— Przegralibyście go jak pierwej.

— Gdzie tam bym przegrał —odrzekł podochocony felczer,—byłbym wygrał i wtenczas, gdyby nie ten straszny wypadek.

— Prawda że straszny —przyznał pan Soter,— ile razy idę przez Topiel, to mnie dreszcz przechodzi na wspomnienie.

— Co ja, bo się tam nic nie boję —odrzekł pan Fiksz rozochocony bawarem,—i doprawdy gdybyście chcieli panie Soterze, tobyśmy i teraz tamtędy poszli.

— A to po co?...żeby sobie nowej biedy napytać? ...mało nam było jednej.

— Zatrzymajcie się tylko chwilę, panie Soterze, ja wam zaraz powiem dla czego,—prawił dalej rozmarzony sennością i trunkiem pan Antoni.

Pan Soter który podobnież miał dosyć w czubie, zatrzymał się i słuchał.

— Przysięgliśmy sobie—bełkotał pan Fiksz niekoniecznie wyraźnie i trzeźwo,—przysięgliśmy sobie, że zrobimy wszystko byle tylko tego biedaka ocalić.

— No, przysięgliśmy, to i cóż?...

— A cóżeśmy dotąd zrobili?

— A!...nic!...

— No, to potrzeba...widzicie...powiadam wam... potrzeba zacząć działać...bo przysięga...święte słowo przysięga, powiadam wam.

— To dobrze...zaczniemy działać...jutro.

— Powiedziano: co masz zjeść dziś, schowaj na jutro...a co masz jutro zrobić, zrób dziś...

— Ale cóż dziś zrobić możem, po nocy?...

— A cóż, pójdziem na Topiel...

— Po co?...

— Jakto, po co?—zawołał pan Fiksz, —przysięgaliśmy przecież, że mu dopomagać będziemy..... chcecie złamać przysięgę, panie Soterze?

Po kilku kwartach tęgiego piwa pan Soter uwierzył, że niesłuchanie żądania pana Antoniego, byłoby złamaniem przysięgi i dał sobie wytłumaczyć, że przez Topiel iść trzeba, chociaż pan Fiksz sam wcale nie wiedział dla czego.

Poszli, prowadząc w drodze głośną, ożywioną, choć niekoniecznie ładu się trzymającą gawędkę.

Pan Antoni jako człek słabszej głowy, więc więcej podchmielony, główny w niej rej wodził.

— Widzicie—mówił,—to źle, że zaniedbujemy tę sprawę. Opędzki jest niewinny, ja wam powiadam...a kiedy on niewinny, to zbójca prawdziwy jest na wolności, wszak tak?...

Pan Kukuli nic nie miał do nadmienienia przeciwko temu rozumowaniu.

— A kiedy zbójca jest na wolności, to co robi?... juści, rozbija się?...

— A no, zapewne—przyznał pan Soter nie mogąc pojąć, do czego zmierza pełne głębokiej logiki rozumowanie pana Fiksza

— A jak mu się raz udało zabić bezkarnie na Topielu, to gdzie rozbija jeżeli nie na Topielu?..... co?.....

Szkoda że była noc, i że pan Soter był niezbyt odważnym z natury, a jeszcze tchórzliwszym po pijanemu, bo mógłby był widzieć spojrzenie tryumfalne, z jakiem pan Antoni wypowiadał ten dowodzący niesłychanej przenikliwości wniosek. Tym razem jednak zupełnie co innego zastanowiło biednego właściciela domu.

— Bójcie się Boga, panie Antoni!—zawołał przerażony,—to on nas zabije i obedrze. Ja tam za nic w świecie nie pójdę.

— Głupstwo — odrzekł pan Fiksz ciągnąc go uparcie za rękę,—jest nas dwóch, nie da nam rady, owszem my go złapiemy...a jak go tylko złapiem, to tamtego zaraz wypuszczą.

Darmo się opierał pan Soter; starszy felczer był silniejszy, ani ustąpić, ani puścić go nie myślał, nieszczęśliwy zatem właściciel domu poszedł przez Topiel, chociaż drżał jak listek.

Naturalnie, że na Topielu nie napotkali zbójcy, w którego bytność ciągłą na miejscu spełnionej zbrodni tak nagle uwierzył pan Fiksz, lecz za to inny spotkał ich wypadek.

W tym samym prawie punkcie, gdzie w chwili popełnienia zabójstwa znajdowało się ciało zamordowanego, potknęli się obydwaj podobnie o ciało ludzkie.

Tym razem jednak tego co leżał na ziemi nie powaliła zbrodnia, ale wódka. Był to jeden z pijaków nadwiślańskich, który wyszedł z szynkowni zupełnie odurzony trunkiem i szukał sobie widać jakiejś na nocleg kryjówki, póki sobie nie wytłumaczył, że najdogodniej będzie odbyć spoczynek na chodniku.

Pan Soter i pan Antoni potknąwszy się o niego, silnie przygnietli go kolanami, co jednak tylko na chwilę rozbudzić go zdołało.

— Precz łobuzy!—krzyknął chrapliwym głosem i zaczął się układać wygodniej.

Pan Fiksz i pan Kukuli byli już daleko i nie słyszeli tych wyrazów.

Wypadek ten tak ich przeraził, że otrzeźwieli nagle i z całej siły nóg puścili się ku domowi.

Nie było daleko, wkrótce potem byli już w łóżkach, spali jednak snem niespokojnym i przerywanym.

Rozgorączkowana wyobraźnia, dziwne im przedstawiała widziadła.

Do pana Kukulego przychodziły jeden po drugim duchy pomordowanych, stawały przed nim i wołały:

— Patrzaj! nas zabijają, a tyś niewinnego oskarżył, ażeby zbójcom bezkarność zapewnić.

Panu Antoniemu śnił się Opędzki w kajdanach, osłabiony, złamany, wychudły; ciągnął go za rękę i wołał:

— Widziałeś?...prawda?...chodź ze mną, przypatrzysz się jeszcze...jest tam trup na Topielu...oskarż mnie i teraz jak mnie już raz oskarżyłeś, krzywoprzysiężco!

Nazajutrz rano wstali obydwaj bledzi, zmienieni. Spojrzeli w lustra i poprzelękali się siebie.

— Wszystkiemu winno piwo, — rzekł do siebie pan Soter.

Ubrał się szybko i zbiegł na dół do razury.

— Panie Antoni — zawołał zaraz we drzwiach,— postąp sobie jak chcesz, a ja przysięgam, że kropli piwa nie wypiję dopóki Opędzkiego nie wypuszczą.

— Panie Soterze — odpowiedział pan Fiksz, — uprzedziliście mnie. Miałem właśnie iść do was, żeby wam to zaproponować. Przekonałem się, że od piwa człowiek głupieje i przepraszam was szczerze, żem was na tę przykrość naraził.

— Głupstwo! niby i ja nie miałem w czubie — rzekł pan Kukuli,—tylko żeby nas znowu na świadki nie powoływano, nie mówmy nic nikomu że wiemy o tem nowem morderstwie.

— O! ja o tem ani słowa nie pisnę.

X.

Wyrzec się niepotrzebnych i czas tylko zabijających wygódek i przyjemnostek, kiedy człowiek o czemś poważnem myśli, jest to podobno jeden z najważniejszych środków dopięcia celu.

Nie było odtąd dnia, nie było nawet kilku godzin, żeby dwaj przyjaciele nie namyślali się i nie konferowali z sobą nad środkami dokonania trudnej sprawy, do której się zobowiązali w obec siebie samych, a że zaglądanie do kufla nie towarzyszyło medytacjom i naradom, więc z daleko większą łatwością wpadać zaczęli na praktyczne pomysły.

Aby pójść dalej, trzeba było znaleźć punkt wyjścia,—aż dotąd ten punkt wyjścia tonął im w bawarze, teraz na gruncie osuszonym z Gambrinusowego nektaru znalazł się prędko.

W parę dni po uczynionym ślubie, już pan Soter zabierał się do łóżka, gdy mu nagle przyszła wielka idea. Przestał się więc rozbierać, włożył szlafrok i co tchu do pana Antoniego pośpieszył.

— Panie bracie — zawołał wbiegając do razury, —znalazłem, znalazłem sposób.

— Cóż takiego?—zapytał pan Antoni, który również skłopotaną myślami głowę miał o tym czasie złożyć na poduszkach.

— Wiem od czego zaczniemy, żeby sprawę Opędzkiego rozjaśnić...

— A no, a no, gadajcież panie Soterze, bom tego początku strasznie ciekawy.

— Trzeba, żebyśmy poszli do niego, póki go jeszcze nie wysłali.

Pan Fiksz skrzywił się trochę na tę propozycją. Nie było mu bardzo po myśli.

— Iść tam...jak on nas przyjmie, — odrzekł niechętnie.

— Cóż?...będzie nam wyrzucał żeśmy go zgubili, ale to trzeba w pokorze chrześcijańskiej znieść — perswadował pan Soter,—a jak żal swój wypowie to się udobrucha, boć mu przyjemnie będzie widzieć ludzi. Wtedy dopiero my zaczniemy. Powiemy mu, że dla niego chcemy jak najlepiej...

— Aha! właśnie uwierzy!...

— Czemu nie ma uwierzyć jak mu powiemy, że nam nasze zeznania ciążą na sumieniu, bo je sąd przyjął za dowody, choć my doprawdy nie sądzimy, żeby z tego cośmy widzieli można było stanowczo powiedzieć że to on zabił i jak mu powiemy, że chcemy go pocieszyć, i jak go poprosimy, żeby nam wskazał co zrobić żeby znaleźć dowód, że on niewinny.

— Niby on, gdyby miał jaki dowód nie byłby go już dotąd znalazł,—zarzucił pan Fiksz.

— To prawda, ale zawsze powiedzieć nam może gdzie i u kogo grał w karty.

— Nie powie, bo będzie myślał, żeśmy jacy Judasze...

— No, jak nie powie to nie powie, ale zawsze sprobować nie zawadzi.

Długo jeszcze przekonywał pan Soter swego lokatora, aż ten przystać nareszcie musiał, że jeśli chcą coś zrobić dla skazanego, to powinni zacząć od odwiedzenia go.

Nazajutrz zaraz postarali się i z łatwością uzyskali pozwolenie odwiedzenia więźnia.

Zastali Opędzkiego na łóżku tak zmienionego, że zaledwie poznać go mogli. Przez niespełna dwa tygodnie które ubiegły od dnia sądu, najmniej dziesięć lat mu przybyło. Choroba, której uległ w czasie posiedzenia sądowego, utraciła już wprawdzie charakter niebezpieczny, młodość ją pokonała, chory wstępował dopiero w okres długiej, powolnej rekonwalescencji, życie jego jednakże nie było już zagrożone, choć było pewnem że nie prędko siły odzyska. Na twarzy jego czytać można było wyraz strasznej boleści, mimo to jednak twarz ta nie była odstręczającą i okropną,—coś, rezygnacja może, dodawała tym znędzniałym i poprzedłużanym rysom złamanego strasznym ciosem, jakiegoś łagodnego, sympatycznego odcienia.

Obawy pana Antoniego nie sprawdziły się bynajmniej. Chory ujrzawszy ich przystępujących do swego łóżka, wysilił się na uśmiech:

— A! panowie...—rzekł słabym głosem,—jak to grzecznie ze strony panów, żeście mnie przyszli odwiedzić...

— Panie—odrzekł pan Soter, — przedewszystkiem przyszliśmy prosić, ażebyś nam przebaczył jeśli masz żal do nas...

— Żalu...nie mam — odpowiedział Opędzki, — kto wie!...gdybym był na miejscu panów, zeznawałbym tak samo...kiedy się jest człowiekiem trudno własnym oczom nie wierzyć...a kiedy się przysięga, niepodobna kłamać...

Słowa chorego były prawdziwym balsamem dla obu przyjaciół, było to niejako rozgrzeszenie które im dawał ten, względem którego uważali się za winnych. Obaj byli rozrzewnieni do głębi, pan Soter nawet aż do łez.

— Żalu nie mam — powtórzył skazany, —tylko mi przykro...

Tu przerwał sobie, machnął z lekka rękę i rzekł:

— Ale co mówić o tem!...

Łza zaświeciła mu w oku.

— Panie!—zabrał głos pan Antoni, bo pan Soter rozpłakany na dobre mówić już nie mógł,—nie rób nam krzywdy i powiedz co masz na duszy...jesteśmy uczciwi ludzie i jeśliśmy tu przyszli, to żeby ci pomódz w czem można...

— Przykro mi... boli mnie—mówił Opędzki ujęty tem prostem ale serdecznem wezwaniem,—że po wyroku jaki zapadł, jużbyście mi panowie nie uwierzyli gdybym wam klął się i przysięgał, że nie byłem i nie jestem zabójcą...

— O my nieszczęśliwi! —łkając i załamując ręce zawołał pan Soter,—a myśmy na pana świadczyli!...

— Nie! to niepodobna, żebyś nam pan przebaczył! —dodał z boleścią pan Antoni.

Ta niekłamana wiara w jego słowo, wywołała wyraz radości na zmiennym obliczu chorego.

— Panowie—rzekł, — świadczę się wszystkiem co miałem kiedykolwiek drogiego, że do was nie mam najmniejszej urazy....byliście narzędziami woli Bożej, która mnie ukarać chciała za co innego i której wyrok przyjąłem...

— Bądź co bądź —odpowiedział pan Antoni, — myśmy w tej sprawie przyłożyli się obaj do potępienia niewinnego człowieka.

— Stało się!—westchnął Opędzki.

— Tak już się stało, lecz odstać się może...

— Zostanę tutaj dopóki się Najwyższej Sprawiedliwości nie spodoba odkryć prawdziwego złoczyńcy......

— Ludzie jednakże mogą nad tem pracować, panie Opędzki—rzekł utuliwszy się nareszcie pan Soter,—pan musisz mieć dowody swojej niewinności.

— Los tak chciał, że wszystko com na dowód przytaczał zamieniało się się w poszlaki przeciw mnie....walczyć z przeznaczeniem nie można...zresztą ...wyrok zapadł...za późno...

— Nigdy nie jest za późno, panie...jeśli nam ufasz...jeśliś nam na prawdę przebaczył, powiedz co mamy robić ażeby cię ocalić...

— Nie wiem...sądzę, że to niepodobieństwo...chybaby zabójcę ujęto...

— Nie masz pan żadnych jego śladów?...

— Nie taiłbym ich.

— Zawsze jednakże coś zrobić by można na potwierdzenie pańskich zeznań...czegoś pan nie mógł mówić przed sądem, możesz...jeśli nam ufasz...powiedzieć przed nami... naprzykład miejsce, w którem byłeś owego wieczora.

Opędzki się zamyślił.

— Nie ufasz nam pan, albo nie przebaczyłeś...— nalegali obydwaj przyjaciele.

Po dość długiej rozwadze, chory odpowiedział nareszcie:

— Panowie, nie sądzę żeby się to na co przydać mogło; ale raz dla tego, żeby wam dać dowód ufności, żeby was przekonać, że jestem przekonany iż postępowaliście sumiennie i w niczem nie zawiniliście względem mnie, a głównie dla tego, żeby wam dać sposobność sprawdzenia że wszystko co mówiłem przed sądem było najzupełniejszą prawdą, głównie dla tego, żeby było na świecie choć dwóch ludzi poczciwych, mających jakąś zasadę do wierzenia żem nie morderca, powiem wam wszystko o co mnie zapytacie będąc pewny, że z tego nie zrobicie żadnego niegodnego użytku.

Rozpromieniły się oblicza dwóch przyjaciół pewnych, że przy takiej Opędzkiego pomocy, wiele dla niego zrobić będą mogli.

Pan Soter zebrał w myśli wszystkie szczegóły sprawy, pragnąc sobie przypomnieć o co zapytać należało, ale w całej sprawie Opędzkiego były tylko dwie tajemnice, z których jedna nawet w pośrednim tylko pozostawała z nią związku.

Owa podejrzana dyskrecja i uporczywa zagadkowość obwinionego, na którą z takim naciskiem w oskarżeniu powoływał się prokurator, z której robił taką okropną poszlakę winy, która samemu panu Soterowi i panu Antoniemu wydawała się tak niewytłumaczoną w sprawie, gdzie o hańbę i karę dożywotnią chodziło, ograniczała się tylko do jednego i jedynego faktu, to jest do wymienienia miejsca, w którem Opędzki przepędził wieczór poprzedzający zbrodnią. Zresztą na wszystkie pytania jakie mu zadawano, odpowiadał i dawał objaśnienia, z których nieszczęściem tylko nowe poszlaki wyprowadzać się dały.

Była wprawdzie i druga tajemnica, sekret owej podłości do której się Opędzki przyznawał, za którą sądził że go Niebo ściga, ale o tę jako nie wpływającą na sprawę, delikatność już sama pytać się nie pozwalała.

Pozostało zatem jedno tylko pytanie, które pan Soter już zadał poprzednio, to więc i teraz powtórzył.

— Więc ów wieczór przepędziłeś pan?..

— Jak już powiedziałem w tajemniczym domu gry, do którego mnie kiedyś ktoś z moich znajomych wprowadził. Tam, wchodząc spotkałem wychodzącego człowieka, którego później poznałem w zabitym. Należałem jak panom wiadomo, do złotej młodzieży Warszawskiej, z której niejeden poszukiwał tam wzruszeń karcianych, gdy mu się gdzieindziej nie przytrafiła okazja...Brzydkie to było i lekkomyślne z mojej strony zwłaszcza po tem, com przyrzekł w taki uroczysty sposób osobie, z którą połączyć się miałem...ale...

Zabrakło mu głosu na chwilę.

— Trudno — dodał wzdychając, — pokutuję za większe, to odpokutuję i za to!...

— Możesz nam pan powiedzieć kto utrzymuje ten zakład i gdzie?...

— Mogę wam powiedzieć wszystko, dobrzy panowie, pojmijcie tylko dla czego przed sądem nie mówiłem. W pierwszej chwili sądziłem, że się moja niewinność bardzo prędko wykryje, nie chciałem się więc kompromitować tem zeznaniem, któreby dowodziło żem złamał słowo i mogłoby mnie z moją narzeczoną poróżnić, — później gdym widział, że się naprawdę poszlaki gromadzą, zacząłem zeznawać...na żaden sposób jednak nie mogłem się zdobyć na oskarżenie ludzi, którzy bez względu na to że dla nich szacunku mieć nie mogę, przyjmowali mnie u siebie pewni, że mnie się obawiać nie potrzebują. Tym sposobem nie kompletnem zeznaniem, zaszkodziłem sobie jeszcze bardziej. Dom ten utrzymuje niejaki Ostrugiewicz, mieniący się byłym urzędnikiem z prowincji, żonaty. W jednej z porządniejszych kamienic na Solcu, na pierwszem piętrze, zajmuje dość obszerne i ładnie urządzone mieszkanie, przyjmuje niby tylko znajomych, co mu jednak nie przeszkadza brać podatku za karty i kazać sobie dobrze płacić za wino i za przekąski...Owego dnia kiedy tam byłem po raz ostatni, karta mi szła, wygrałem sporo. Nie chcąc przegrać jak to mi się często zdarzało, wyszedłem, a że jeszcze było dość wcześnie, nie kazałem posyłać po dorożkę, pewny,

że ją spotkam gdzie w drodze, a wreszcie chciałem przejść się trochę. Na Topielu...

— Oh! to nieszczęście już wiemy, panie,—przerwał pan Soter,—ale czy nie mógłbyś nam pan powiedzieć choć jednej osoby, która tam tego wieczoru się znajdowała...

— Przypadek chciał, że samych nieznajomych zastałem... przypominam sobie tylko, bo zajęty grą nie zwracałem uwagi na obecnych, że za moim krzesełkiem dość długo gospodarz domu rozmawiał z jakimś jegomością, którego co chwila nazywał panem Ciupskim. Rozśmieszyło mnie to nazwisko i tym sposobem je zapamiętałem...

To było wszystko, czego się na ten raz pan Antoni i pan Soter dowiedzieli.

Czas przeznaczony na odwiedziny więźnia upłynął, musieli się z z nim rozstać, przyrzekając odwiedzić go znowu niedługo.

Opędzki przyjaźnie i życzliwie uścisnął ich ręce na odchodnem. *(Dalszy ciąg nastąpi.)*

Kilka słów o koniach i wyścigach.

Wiele już pisano w przedmiocie hodowli koni i zaprowadzonych u nas wyścigach konnych, lecz że to nie wywarło żadnego wpływu, a złe ztąd wypływające coraz bardziej powiększa się, sądzim, iż nie zaszkodzi bliższą na ten przedmiot zwrócić uwagę.

My Polacy jesteśmy narodem bardzo naśladowczym, lecz najczęściej naśladujemy obcych w tem właśnie co dla nas jako położonych w odrębnych warunkach istnienia, zupełnie jest niepotrzebnem; z tego małpiarstwa obczyzny a pogardzenia swojskością wynikło, że stajemy się pośmiewiskiem sąsiadów i ściągamy sami na siebie nieobliczone i niepowetowane straty.

Dawniej naśladowaliśmy Francuzów, teraz naśladujemy Anglików, przyswajając sobie najsłabszą bodaj stronę ich zwyczajów. Z pomiędzy różnych niedorzeczności jak np. ubieranie się w worki, noszenie wyżlich uszów, płukania przy obiedzie ust, wybraliśmy także wyścigi konne i zaprowadzenie rassy angielskich koni—i to właśnie wtenczas, gdy jesteśmy najbiedniejsi, gdy nasze gospodarstwa zupełnie podupadły, i gdy rzadko kto jeździ konno a rzadziej jeszcze umie jeździć. Można tu zastosować przysłowie: „Kowal konia kuje, żaba nogę nadstawia."

Anglikom potrzeba było koni, bo ich nie mieli i nad zaprowadzeniem rass, pracowali z wytrwałością im tylko właściwą przez półtora wieku. Pytam się: na co nam biednym były potrzebne wyścigi konne i zaprowadzenie nowej rassy koni, kiedy nas nic do tego nie zmuszało? wszak mieliśmy konie, które z swej dzielności w całej Europie słynęły, a które (wstyd wyznać) przez swój nierozum i dziecinne małpiarstwo ze szczętem zatraciliśmy. Smutno to jest, że we wszystkiem podobnie niebacznie postępujemy, a chociaż nas Bóg oczewiście ciężko chłoszcze i karze, przecież poprawy żadnej nie ma, a zaiste czas już wielki, ażeby po tylu bolesnych naukach i cierpieniach, zastanowić się nad sobą i wejść na drogę zdrowego rozsądku i upamiętania.

Koń angielski wierzchowy z swojej budowy zdaje się być tylko dla Anglika stworzonym, jazda konna Anglików zupełnie odrębna od naszej i zastosowana do temperamentu tak człowieka i jak konia: Anglik uparty i koń uparty; Anglik nie lubi robić wolty i koń ich także niezdolny do tego; Anglik stosownie do budowy konia musi siedzieć przygarbiony z pochyloną głową naprzód, gdy u nas zupełnie co innego: budowa nasza skłonna do otyłości i potrzebujemy siedzieć na koniu całym ciężarem siedzenia, więc i koń powinien być stosownym do tego, a najlepiej do podobnej jazdy pasują rassy wschodnie; na koniu angielskim musiałby jeździec siedzieć po angielsku i ciekawa rzecz jakbyśmy w podobnem położeniu, tłukąc brzuchem cienką szyję konia, wyglądali?—niech tu każdy osądzi kto widział Anglików konno jadących. Anglicy robią kursa po kilkanaście mil dziennie, a któren że z naszych paniczów jeździ konno i podobne kursa odbywa? niechajby któremu taki wypadek zdarzył się, to ręczyć można, że najmniej cały tydzień leżałby w łóżku ostawiony spirytusami i miksturami.

Jakkolwiek rassa naszych koni już zaginęła, jednakowóż mieliśmy nie złe i wytrwałe szkapy i niechajby choć dziesiątą część tej staranności dołożono w ich pielęgnowaniu ile dla angielskich, tobyśmy mogli na tem jak na te ciężkie czasy poprzestać; tymczasem zachciało się nam angielszczyzny i angielskich wyścigów i cóż ztąd wynikło? oto straciliśmy wiele pieniędzy i w miejsce jakichkolwiek koni mamy kurykatury, że aż przykro patrzeć na szkapska jakby z drzewa wystrugane, z szyją długą i cienką jak pasternak, z wystającemi kośćmi, z zadem swińskim wyższym a przodem niższym, aż żal serce sciska patrząc na takie monstra, które gdyby pradziadek z grobu powstał i zobaczył, powtórnie by zaraz umarł. Pomimo nie zaprzeczonych dowodów złego, tak ta nieszczęśliwa anglomania epidemicznie grasuje, że dziś jeszcze jest mnóstwo anglomanów, co na sposób angielski ucinają koniom ogony, a biedne szkapsko nie tylko że zostaje pozbawione najpiękniejszej ozdoby, ale letnią porą niema czem muchy odpędzić i wygląda jak dziewczyna z uciętym warkoczem. A przecież ogon przystoi czworonożnym zwierzętom a nawet i dwonożnym, kiedy chcą koniecznie do tego rzędu należeć. Czas, zaiste wielki czas upamiętania się i przynajmniej koni nie przerabiać na dziwolągów.

Ignacy Brodziszewski.

PRZEMYSŁ ZWIERZĄT
w budowaniu gniazd i mieszkań.

(Dokończenie—patrz Nr. 25-ty).

Remiz sztuką budowania gniazd przewyższa wszystkie Europejskie ptaki. Gniazdo jego ma kształt owalnego woreczka a zwykle bywa zawieszone na cienkich gałęziach rokity. Rurkowate wnijście znajduje się z boku na górnym końcu. Natrafia się niekiedy gniazdo o dwóch wnijściach; o takiem—między ludem jest mniemanie, że zamieszkująca je para, nie żyje z sobą w zgodzie. To dwuotworowe gniazdo nie jest jeszcze zupełnie ukończone i dopiero na ostatku ptaszek drugi otwór zaplata. Sciany gniazda bardzo grube i mocne, wije Remiz z puchu, kwiatów i włókien roślinnych.

Sroka zakłada gniazdo na wysokich i gęstych drzewach; osnowę jego stanowią suche pręciki, posplatane między sobą, zewnątrz oblepione jest ziemią a wewnątrz wysłane delikatnemi korzonkami i włosienią; nad gniazdem wznosi się daszek z pręcików, a z boku jeden tylko jest otwór.

Z pomiędzy zamorskich, odznaczają się sztucznemi gniazdami tak zwane *Krawce* (Silvia sutoria), małe ptaszęta mieszkające w Indyach wschodnich, które za pomocą nóżek i dzióbka, przędą bawełnę, zszywają nią liście drzew i z nich robią gniazda. *Kolibry*, owe prześliczne, drobniutkie ptaszęta, jaśniejące najświetniejszemi barwami, blaskiem drogich kamieni i kruszców, robią także bardzo ozdobne i kunsztowne gniazda. Ptak wschodnio-indyjski *Tkaczem* lub *wikłaczem* zwany (Puocens philippinus) okazuje także dziwny przemysł w budowie gniazdka, które, warunkom bezpieczeństwa i wygody piskląt jego najdoskonalej odpowiada. Gniazdko to, na końcu długiej, giętkiej gałązki, zwykle nad wodą bywa zawieszone; ptaszek wije je z trawy w kształcie podłużnego, na końcu rozszerzonego woreczka.

Wnijście stanowi długa rurka, tak słabo do gniazda przytwierdzona, że skoro wąż lub inny nieprzyjaciel, chciałby się tam przez nią dostać, natychmiast odrywa się i wraz z nim upada. *Wikłacz towarzyski* (Plocens socius) wielkiemi stadami gromadnie w Kongo mieszkający, robi ogromne wspólne gniazdo w kształcie parasola obejmującego pień drzewa, po brzegach którego znajdują się otwory służące za właściwe gniazda dla każdej pary ptasząt, a takich par bywa niekiedy do 300. Inny gatunek tegoż rodzaju ptaków, zwany *Nelikurvi*, wielkości wróbla, zakłada gniazda nad strumieniami i przyczepia je do gałęzi krzaków; są uwite bardzo sztucznie ze trzciny w kształcie torebki, do jednego boku której jest przystosowana długa rurka, z tegoż samego materjału zrobiona i w dół skierowana. Otwór gniazda znajduje się na końcu rurki; tym sposobem pisklęta są ochronione od deszczu i od żarłoczności wężów lub innych gadów. Na rok następny, ptaszek robi nowe gniazdo na końcu dawnego i tak następnie. Sonnerat widział pięć gniazd tym trybem z sobą połączonych. Ptaki te zwykle żyją towarzysko i można znaleść po kilkaset gniazd w jednej miejscowości. *Brodacz* (Bucco) ptak miernej wielkości i ozdobnego pierza, mieszkaniec Afryki i Azyi, którego dziób otacza u spodu szorstkie jak szczecina pierze, wije także dość sztuczne gniazda; nietyle jednak pod tym względem zasługuje na uwagę, jak raczej tém podziwia i odznacza się, że w gniazdach tych nietylko pielęgnuje własne potomstwo, ale nadto starych karmi rodziców. Leraillant znalazł raz w gnieździe pięcioro tych ptaków, z których jeden widocznie wiekiem obarczony, miał koło siebie łupiny orzechów i inne reszty pokarmów, dowodzące że młodzi zajmowali się jego wyżywieniem. Pomieniony naturalista przekonał się o tem jeszcze lepiej, zabrawszy z sobą wszystkie te ptaki i umieściwszy w jednej klatce, widział bowiem jak cztery młode karmiły codziennie, owego starca, siedzącego w kącie klatki.

Gady i *Płazy* nie urządzają wcale gniazd sztucznych. Żółwie i krokodyle składają jaja na brzegach wód, w piasku; niektóre Jaszczurki znoszą te w dziupłach drzew, w rozpadlinach murów lub skał, pod korzeniami drzew. Żmije i węże wybierają na ten cel gnojowiska, kupy zesłych liści, lub zgniłe pnie drzew powalonych. Płazy, jedne niosą jaja na powierzchni wody, jak Żaby; inne w błotach, jak Salamandry, Trytony i Ropuchy. Dwa gatunki żab pielęgnują jaja na własnem swem ciele; którego fałdy służą za gniazdka młodemu pokoleniu.

Przyroda udzieliwszy *Rybom* sposobu rozmnażania się przez ikrę zapładnianą na powierzchni wód, uwolniła większą ich część od potrzeby przygotowywania gniazd dla przyszłego potomstwa. Wszystkie jednak ryb gatunki kierowane instynktem zachowania własnego bytu, szukają schronienia w którémby mogły się ukryć przed napaścią nieprzyjaciół, lub robić zasadzki na słabsze od siebie. I tak niektóre kopią jamy w piasku w nich się kryją dla wypoczynku, lub przed pogonią drapieżnych współbraci; te zaś których pyszczki są opatrzone wąsikami, wystawiwszy takowe z nór swoich, zwabiają niemi drobniejszą rybkę, która mniemając że widzi ruszające się w wodzie robaczki, staje się tego podstępu ofiarą. Przy brzegach Grenlandyi i zatoki Hudsońskiej, *Makrele*, na miejscach płytkich, w piasku zielem wodnem zarosłym, grzebią dołki i w nich na zimę się chowają, utkwiwszy głową i przednią częścią ciała, ogon zaś do góry trzymając. W tych to miejscach, które nadbrzeżni mieszkańcy *Barachua* zowią, sterczą one tysiącami niby żerdzie w wodę zatknięte. Zdarzało się że nieznający zjawiska tego obcy żeglarze, obawiali się podpłynąć w szalupach od brzegu, mniemając, że natrafili na skały podwodne. Ryby prowadząc życie podwodne, łatwo uchodzą śledzeń najpilniejszego nawet badacza; dostrzeżono jednak że kilka gatunków wiją gniazda. O jednym z nich, mianowicie o *Koluszce* czyli *Cierniku* (Gasterostens aculeatus) przed 2000 lat wiedział Arystoteles, ale postrzeżenie jego poszło w niepamięc i dopiero kilkanaście lat temu sprawdzili je nowocześni naturaliści. Samiec pomienionego gatunku w Maju, przed rozpoczęciem tarła, obrawszy na dnie wody miejsce na przyszłe gniazdo, składa na niem rozmaite trawki i zioła wodne; rozściela je nakształt kobierca, a rozesławszy przysypuje piaskiem i oblepia szlamem wydzielającym się ze skóry jego, następnie, z korzonków i słomy buduje boki gniazda, zlepiając je także śluzowatą wilgocią swego ciała: nakoniec urządza przykrycie z takich samych miękkich ziół z jakich uścielał spód gniazda i robi na niem przejście na wylot, to jest o dwóch w linii prostej przeciwległych sobie otworach, jak to widzieliśmy w opisanem wyżej gnieździe Sikory długoogoniastej i zapewne w tych samych widokach, tj. aby nie popsuwszy gniazda, swodobnie w niem się poruszać. Po ukończeniu gniazda, samica puszcza ikrę, a samiec natychmiast jeden z otworów zamyka, czuwa nad wylęgłem potomstwem i najtroskliwsze ma o niem staranie bez udziału samicy, która pod tym względem całkiem jest obojętną.

Przemysł i sztuka z jakiemi niektóre *Owady* budują gniazda i obierają dla swego potomstwa najstosowniejsze mieszkanie, wprawia w podziwienie każdego, kto nieobojętnem okiem spogląda na cudowne dzieła Przyrody. Większa część tych drobnych istot składa jaja w takich miejscach, w których wylęgła dziatwa, może znaleść natychmiast obok siebie żywność odpowiednią. Znaczna jednak część osobliwie z rzędu *Pszczołowatych* (Hymenoptera), przygotowuje potomstwu swojemu gniazda, zaopatrując takowe w pokarm składający się, albo ze zwłok owadów i pająków, lub też z pyłku kwiatów i miodu. Zaledwo wylęgła *pszczoła* bierze się natychmiast do pracy, a bez wszelkiego wzoru, bez wahania się lub niepewności, wykonywa ze zręcznością i sztuką dzieło, któreby człowiek zaledwo był w stanie dopełnić po długich mozolnych pracach i wyliczeniach geometrycznych. Umie ona wybierać i urządzać materyę żywiczną, dającą się łatwo rozciągać na cienkie blaszki, którym owad, kierowany podziwiającym instynktem, nadaje podług woli swej, kształty odpowiednie ich przeznaczeniu. Tą materyą jest wszystkim znajomy wosk, a sama tylko pszczoła wyrabiać go umie. *Osy* urządzają gniazda z massy, do kartonu czyli grubego papieru podobnej, w której przeważa istota drzewna. *Mrówki* gnieżdżą się w rozpadlinach murów i w spróchniałych drzewach; niektóre urządzają stałe mieszkania pod ziemią, z wielkim mozołem nagromadzają potrzebne ku temu materyały i wyrabiają rozmaite drożyny podziemne prowadzące do wspólnego gniazda. Są to jednak budowy proste i nieodznaczają się szczególnym przemysłem. Inne znów gatunki mrówek w zakładaniu swych mieszkań więcej sztuki okazują: jedne robią gniazda na drzewach z liści tychże samych drzew zlepionych materyą własnego wyrobu; do takich należy pewien gatunek mrówki indyjskiej której gniazdo składa się z liści dachówkowato ułożonych.

Inna mrówka (Formica molestans) robi małe, kuliste gniazdo na ogonkach liści rośliny zwanej Tacoca. Mrówka zielona mieszkająca w południowej Nowej Galii, zlepiając po obu końcach liście rozmaitych roślin, robi z nich gniazda dochodzące niekiedy wielkości głowy ludzkiej. Nakoniec gniazdo mrówki odkrytej w 1852 r. na wyspie S-nt Domingo przez p. Sallé, różni się od wszystkich wyżej przytoczonych, składa się bowiem z wyrobu podobnego do szarego papieru i przypomina gniazdo Osy. *Termity* owady równie jak mrówki żyjące towarzysko, a znajdujące się w Afryce, w południowej Ameryce a nawet w południowej Europie, odznaczają się także sztuczną budową pomieszkań. W bezleśnych okolicach Afryki, sta-

wiają one piramidalne budki z wapna, gliny i piasku, zarobionych własną ich śliną; wewnątrz zaś urządzają niezliczone chodniki i kręte nory. Mieszkania te są bardzo trwałe, mają postać pagórków, bywają niekiedy do 15 stóp wysokie a obwód ich u spodu 50—60 stóp wynosi. Termity Amerykańskie zakładają osady w spróchniałych pniach drzew, z których wygryzłszy miękkie części, resztę, niby słupy, w całości zostawiają. Są też i takie co się gnieżdżą w ziemi, wznosząc nad jej powierzchnią nasypy w kształcie pagórków. Mieszkańcy Paragwaju zowią te budowy ziemne *Takurus*, a wydrążywszy wewnątrz, zamiast pieców używają.

Gąsienice *Motylów*, których organizacya nie może znieść zetknięcia się z powietrzem, urządzają sobie komórki jedwabiste i w nich odbywają przemiany. Z pomiędzy tych gąsienic, zwykle bardzo drobnych, jedne obierają dla siebie mieszkania wpośród żywności tak obfitej aby im na całe życie wystarczyć mogła; inne, jak Mole, robią rodzaj pochewki przenośnej którą ciągną z sobą, wystawiając z niej tylko główkę i łuszczkowate nóżki. Pochewki te które Réaumur przyrównał do płaszczów lub sukien, składają się albo z materyi jedwabistej samej przez się, lub też pomieszanej z ziarnkami piasku i żwiru, sklepionych lepką materyą, co im nadaje kształt małej muszelki; niekiedy pokryte są wzdłuż ździebełkami traw lub też listeczkami dachówkowato ułożonemi. Kokony *Jedwabników* są bezwątpienia najwięcej zajmujące pod względem korzyści jakie przynoszą, lecz jest wiele gatunków gąsienic odznaczających się większą jeszcze kunsztownością wyrobu. Niektóre znów gatunki poprzestają na kilku nitkach przędzy rozmaicie przeplecionej nakształt pajęczyny; inne robią kokony przezroczyste; większa część gąsienic oblepia je liściem; są też inne które dla wzmocnienia powłoki swojej i odjęcia jej przezroczystości, zwilżają ją żółtawą cieczą, ta zaś wyschnąwszy, zamienia się w proszek do kwiatu siarczanego podobny. Gąsienice mające kosmate ciało, okrywają kokony swoje włosami. Inne znów nagie, nie mające ani włosów, ani zapasu przędzy, używają na ten cel materyi obcych: jedne spajają liście roślin na których żyły, drugie tną listki na kawałki i układają z nich rurkę; niektóre z mieszkających na drzewach spuszczają się wzdłuż pni i tak kunsztownie oblepiają kokon swój odrobinami kory i porostów, że najwprawniejsze oko nie jest w stanie je rozróżnić od kory drzewnej. Gąsienice mieszkające na murach wykładają zewnętrzną stronę swego ukrycia, drobnym piaskiem lub okruszynami mchów w taki sposób, że od powierzchni do której gniazdko jest przetwierdzone odróżnić je można tylko po małej wyniosłości którą stanowi. Liszki owadów z rodzaju *Wodosówek* (Phryganca) mieszkające w wodach, robią sobie pochewki ze żwiru, drobnych kamyczków i okruszyn drzewa, i w tych do czasu przemiany swojej przesiadują.

Widzimy więc, jak wielu sposobów ukrycia i zabezpieczenia bytu własnego i przyszłego potomstwa dobierają zwierzęta, z mniejszym lub większym przemysłem i sztuką, stosownie do rodzaju życia jakie prowadzą i środkom w których żyją. Aby je wszystkie opisać, potrzebaby całych tomów; poprzestaniemy zatem na niektórych zebranych tutaj szczegółach, sądząc że i te dostatecznemi będą do wykazania dobroczynnej opieki, jaką Przyroda, a raczej Najmędrszy jej Twórca rozciąga na najdrobniejsze nawet dzieła swej wszechmocnej ręki.

ROZMAITOŚCI.

— **Muzykalny fenomen.** Do Londynu przybyła w tych czasach *prawdziwa* batawka, istny fenomen muzykalny, która jednocześnie gra dwie arje prawą ręką, dwie lewą, a tymczasem śpiewa piątą arją. Jeżeli fenomen ten nie jest tylko kaczką dziennikarską, w takim razie powinszować należy anglikom, że mają odwagę przysłuchiwać się tej mięszaninie tonów.

— **Nowy Don Juan.** Pewien młodzieniec należący do grona złotej młodzieży, czyli tak zwanych zdechlaków, zaręczył się w Peszcie z czterema pannami, w Budzie z dwoma, w Wiedniu z trzema a niedawno z jedną w Weitzen. Do wszystkich zalecał się prawie jednocześnie. Jednym oświadczał się jako Doktor Bleyer, innym jako doktor Pik, albo jako bogaty posiadacz ziemski. Pomimo najstaranniejszych poszukiwań Wiedeńskiej i Peszteńskiej policji, nie zdołano jeszcze wpaść na tropy tego nowego Don-Żuana, który może w chwili gdy go policja poszukuje, składa wyznania miłośne u nóg nowej ofiary.

— **Chrabąszcze.** Ostatniemi czasy panowały we Francji prawdziwie zwrotnikowe upały, skutkiem których, w południowych mianowicie prowincjach, wyrodziła się taka ilość chrabąszczów, że wieczorem kroku prawie zrobić nie można, ulatują one do gęby, cisną się do oczu, a na drzewach liści prawie za niemi nie widać. To też ze szkodliwemi temi owadami wszędy zażartą toczą wojnę, a w tych dniach wozy parokonne przywiozły do morza od 3 do 4 tysięcy kilogramów chrabąszczy. Całe morze pokryte niemi zostało u brzegów, a powietrze zaraziło się do koła wonią gnijących ich ciał.

— **Recepta na niedobrane małżeństwa.** Za dawnych czasów istniał oryginalny zwyczaj w Szwajcarji, w Kantonie Zurich, że jeżeli dwaj niezadowoleni z siebie małżonkowie żądali rozwodu, to zamykano ich na parę tygodni w samotnej baszcie na brzegu jeziora, zmuszając żyć przez ten czas w nieprzerwanem sam na sam. Co większa, dawano im jeden tylko pokój, jedno łóżko, jeden stół, jeden talerz, po jednym nożu, widelcu, łyżce i t. d., stawiąc ich w zupełnej od siebie zależności: Jeżeli po paru tygodniach zgoda nie nastąpiła, a oboje trwali przy swoim zamiarze, wówczas dawano im rozwód; ale rzadko które stadło wytrzymało tę próbę, i zgoda zwykle przed końcem terminu zamknięcia następowała.

— **Pogrzeb Kury.** W Kwietniu r. b. w pewnem niewielkiem miasteczku stanu Wiskonsin w Ameryce północnej odbywał się uroczysty pogrzeb kury, która skończyła swój żywot nie pod nożem kucharskim, ale naturalną śmiercią. Kura ta grała ważną rolę w historji ochotników ostatniej amerykańskiej wojny. Była ona własnością jednego z pułków wiskonsińskich, z którym dwa lata przebyła na wojnie. Zwykle przesiadywała na armatniej lawecie, nie opuszczając jej w najokropniejszych chwilach bitwy. Po ukończeniu wojny, ochotnicy wiskonsińskiego pólku wrócili do domu, a kurę oddano pod opiekę pewnego artylerzysty. Na wszystkich narodowych uroczystościach, znakomita kura towarzyszyła wszędy byłym ochotnikom wiskonsińskiego pułku. Gdy zdechła, cały pólk opłakiwał ją jak starego towarzysza broni.

— **Przyrząd Karliego do gaszenia pożarów** od kilku już lat został uprzywilejowany i upowszechniony za granicą, a nawet w Rossji otrzymał patent uznania, nie wiadomo tylko dla czego u nas nikt się oń nie troszczy, a nawet, o ile wiemy, nikt go nie zna. Przyrząd ten składa się z naczynia, łatwo dającego się przenieść, i zrobionego ze stalowej blachy; zawiera w sobie wodę pod mocnem ciśnieniem (około 5 atsmosfer) gazu, wywiązującego się wewnątrz przyrządu z ciał w nim umieszczonych. Gazem tym jest kwas węglany; ciała zaś składają się z dwuwęglanu sody i dwuwinianu potażu. W dolnej części przyrządu znajduje się kran, połączony z rurą skurzaną zakończoną odpowiednim munsztukiem, dla kierowania wyrzucanej strugi. Cały przyrząd za pomocą dwóch pasów rzemiennych, umocowywa się na plecach, i z łatwością się przenosi. Głównem za-

daniem przyrządu Karliego, jest gaszenie pożaru w samych początkach. Dzięki swej objętości, taniości i lekkości może się znajdować w każdym domu, a w razie pokazania się ognia w którémkolwiek z mieszkań, można go natychmiast tam przenieść i puścić w działanie, przez co jeżeli pożar się nie ukróci, to przynajmniej zapobiegnie się jego rozszerzeniu przed nadejściem straży ogniowej. Przy wspólnem działaniu kilku przyrządów można zagasić i większe pożary. Paląca się smoła, dziegieć, lakiery i t. p. ciała, niełatwo dające się ugasić wodą, prędko i zupełnie gaszą się przy pomocy przyrządu Karliego. W Angli, w ciągu ostatniego półtorarocza ugaszono za pomocą niego około 200 pożarów. Woda nasycona i parta kwasem węglowym, powinna być skierowaną na ogień z jak najbliższej odległości, lubo w potrzebie i na 6 sążni działać może. Przyrządy te zawierające przecięciowo około 1, $1\frac{1}{2}$, $2\frac{1}{4}$ i 3 pudy wody, kosztują 25, 30, 35 do 40 rubli każdy. Wydatek na wypełnienie ich gazem wynosi około 1, $1\frac{1}{4}$, $1\frac{1}{2}$ lub $1\frac{3}{4}$ rubli.

— **Dobra Macocha.** W domu p. Greenfield posiadacza dóbr w Anglji, zdarzył się wypadek, opowiedziany przez Tomasza Smitha. Kotka mająca młode kocięta przynosiła im często myszy i inne młode zwierzątka upolowane przez siebie. Jednego razu przyniosła w taki sposób młodego szczura. Kocięta czy że były niegłodne, czy że znajdowały się w wyjątkowo dobrym humorze, zaczęły się z nim bawić, a szczurek którego natura widać obdarzyła usposobieniem figlarnem i towarzyskiem, brał w tej zabawie udział z całą wesołością. Gdy wkrótce potem matka kociąt położyła się aby nakarmić swoje dzieci, szczur wziął udział w biesiadzie razem ze swemi towarzyszami zabawy. Kotka nie tylko mu tego nie broniła, ale nie odmówiła mu owych pieszczot macierzyńskich, któremi zwykle matki tego gatunku obdarzają tak szczodrze swoje potomstwo. Gdy przyszla kolej na niego, szczur bywał wylizany jak inne.



Gniazda ptaków Nelicurvi. (Str 208).

Właściciel dowiedziawszy się o tej szczególnej adoptacji, wystawiał macosze przywiązanie kotki na rozmaite próby, z których ona wyszła zwycięzko. Gdy w jej nieobecności przeniesiono dzieci wraz z szczurem gdzieindziej, zaraz za powrotem rozpoczynała poszukiwania, a gdy znalazła, przenosiła je napowrót po jednem do gniazda nie pomijając szczura, któremu nie dawała pierwszeństwa ale też nie zostawiała go na ostatku. Słowem zawsze równo i sprawiedliwie rozdzielała swoje pieszczoty i względy pomiędzy dzieci swoje i dziecko przybrane, chociaż to ostatnie pochodziło z rodziny, z którą rodzina kotów w odwiecznéj zostaje nienawiści.

— **Kwas węglowy w powietrzu.** Jak wiadomo powietrze którem oddychamy składa się z tlenu (kwasorodu) i azotu, z przymieszką niewielkiej ilości kwasu węglowego i pary wodnej. Stosunek tlenu i azotu jest stały, a przynajmniej bardzo niewielkim podlega zmianom. Na 21 części pierwszego jest 79 drugiego. Ilość kwasu węglowego jest różna w rozmaitych miejscowościach. Tak zwane świeże powietrze zawiera go zwykle daleko mniej, niż naprzykład powietrze miast w okolicach licznych fabryk albo miejsc zamkniętych, w których przebywa wiele ludzi. Zauważono jednakże, że ilość kwasu węglowego zmienia się także stale, odpowiednio do pory roku i pory dnia. W Grudniu i Styczniu jest prawie równą, zwiększa się w następnych miesiącach aż do Czerwca, w Lipcu i Sierpniu zmniejsza się szybko, a od Września do Listopada powiększa się powoli, ażeby w Grudniu zmniejszyć się znacznie. W nocy powietrze zawiera w sobie więcej gazu kwasu węglowego niż w dzień. Koło południa nieco więcej niż w innych porach dnia, również po deszczu ilość kwasu węglowego zwiększa się zawsze.

— **Zużycie srebra w fotografji.** Obliczono, że na przyrządzenie preparatów fotograficznych do których wchodzi srebro, zużywa się srebra corocznie w Niemczech około 400 centn., we Francji i w Anglji, również po 400 centn., a w Północnej Ameryce tylko około 200 centnarów. Przypuściwszy, jak jest po większej części, że inne kraje nie fabrykują u siebie lecz sprowadzają z powyższych preparata fotograficzne, do których wchodzi srebro, wartość zużytego w ten sposób srebra wyniesie corocznie około 4,200,000 rs.

KORRESPONDENCJE OD REDAKCJI Opiekuna Domowego.

Panu Konstantemu Gozd..... w Strykowie.—Z reklamacją pańską o nieotrzymywanie w I-m kwartale r. b. „Opiekuna domowego" na miejscowej stacji zaprenumerowanego, udaliśmy się do Ekspedycji głównej gazet, która na właściwej drodze przedmiot ten wyjaśni.

Ks. Szpad..... w Sączowie. — Po otrzymaniu listu pańskiego, Opiekuna domowego od włącznie N-ru 20-go wysyłamy do *Dąbrowy*; poprzednie zaś wszystkie numera wysłane zostały wedle dawniejszego adressu.

Podsłuchane gdzie się zdarzy.

(*W kantorze bankierskim*)

Starszy Buchhalter. Ten list jest źle napisany, trzeba go przepisać natychmiast.

Młodszy Kopjista. I owszem panie buchhalterze.... cóż trzeba zmienić?...

Starszy Buchhalter. Wszystko zostawić co do słowa jak tu jest, tylko na początku zamiast: „Wskutek pańskiego listu," napisać: „Na skutek pańskiego listu."

Młodszy Kopjista. Ale, panie buchhalterze, to wszystko jedno.

Starszy Buchhalter. Proszę nie rozumować, tylko przepisać jak powiedziałem i basta.

Młodszy Kopjista. Ja nie rozumuję, panie buchhalterze, radbym się tyko dowiedzieć, jaka jest różnica między temi dwoma wyrażeniami, żeby na przyszłość umieć się zastosować.

Starszy Buchhalter. Różnica?... jaka różnica?... no proszę!... ależ to ślepy by dojrzał jaka różnica?... czekaj pan, ja panu zaraz powiem jaka różnica... (*Po chwili namysłu*): Oto taka różnica, że „na skutek" jest to wyrażenie, którego ja panu użyć każę, a „w skutek" jest wyrażenie którego panu użyć nie każę, i ta jeszcze różnica: że „w skutek" jest tutaj napisane, a „na skutek" będzie napisane w tem co pan przepiszesz. Zrozumiałeś pan?...

Koniec Kwartału II-go 1868 roku.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.